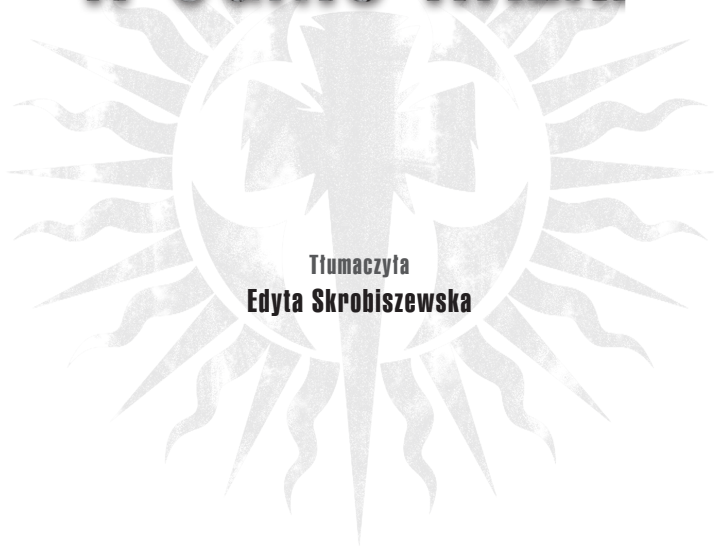


WILL HILL

DEPARTMENT 19

W OGNIU WALKI



Tłumaczyła
Edyta Skrobiszewska

Nasza Księgarnia

Tytuł oryginału *Department 19. Battle Lines*

Text copyright © Will Hill 2013

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014

© Copyright for the Polish translation by Edyta Skrobiszewska,

Warszawa 2014

Jacket illustration by Bose Collins

Logo images © Shutterstock.com

Jacket design layout © HarperCollins*Publishers* Ltd 2013

PROLOG

CROWTHORNE, BERKSHIRE

W miasteczku Crowthorne jest syrena alarmowa.

To kopia przeciwlotniczej syreny z czasów drugiej wojny światowej. Jest jaskrawoczerwona i umiejscowiona na szczycie masztu dwa metry nad ziemią.

Alarm połączono podziemną siecią kabli ze szpitalem Broadmoor, rozległym kompleksem budynków z czerwonej cegły, zbudowanym nieopodal wioski, domem dla prawie trzystu najbardziej niebezpiecznych, zwichrowanych obywateli Wielkiej Brytanii.

Zaprojektowano go tak, by zaalarmować każdego w odległości czterdziestu kilometrów i poinformować go, że doszło do ucieczki ze szpitala. W ostatnich pięćdziesięciu latach rozległ się jedynie pięć razy.

Ben Dawson spał od czterdziestu pięciu minut, kiedy alarm zaczął wyć. Zerwał się ze swojego snu o spaniu, jednego z tych długich, głębokich i trudnych do przerwania, które nie zdarzały mu się często przez ostatnie sześć tygodni, czyli od narodzin Isli. Poczuł, że żona też unosi głowę z poduszki.

– Z dzieckiem wszystko w porządku? – mruknęła.

– To nie Isla – odparł. – To alarm.

– Syrena?

– Cholerny alarm z Broadmoor – rzucił poirytowany.

Dźwięk był ogłuszający – dwutonowe wycie, które sprawiało, że w piersi narastał mu gniew.

– Która jest godzina? – spytała Maggie, z trudem otwierając powieki i patrząc na męża.

Ben włączył lampkę, zmrużył oczy, kiedy światło zalało pokój, i spojrzął na zegar.

– Za kwadrans czwarta – jęknął.

„To nie w porządku – pomyślał. – To po prostu nie w porządku”.

Potem usłyszał inny dźwięk, pomiędzy kolejnymi alarmami syreny. Wysoki, pełen determinacji płacz dobiegający z pokoju ponad ich sypialnię. Ben zaklął i usiadł.

– Zostań – rzekła Maggie, podnosząc się. – Moja kolej.

Ben wsunął stopy w trampki i wciągnął sweter przez głowę.

– Idź do Isli. Ja wyjdę na zewnątrz i sprawdzę, czy ktoś jeszcze się obudził.

– Dobrze – odparła Maggie, potykając się w drzwiach, na wpół zaspana. Jej ruchy były całkiem automatyczne, typowe dla świeżo upieczonych rodziców na całym świecie.

Ben usłyszał jej kroki na schodach i to, jak uspokaja ich córkę.

Nie bał się, słysząc dźwięk syreny. Kilka razy jeździł do szpitala, widział ogrodzenie pod napięciem, dyżurkę przy bramie i solidne budynki. Nie obawiał się, że ktoś mógłby stamtąd uciec. Oczywiście przez lata prób było kilka. Na przykład ucieczka Johna Straffena w 1952 roku. Facet uciekł przez płot podczas obowiązkowego sprzątnięcia podwórka i zabił młodą dziewczynę z Farley Hill. To właśnie dlatego pojawiła się syrena. Ostatni raz komukolwiek udało się uciec prawie dwadzieścia lat temu. Od tamtego czasu wzmocniono środki bezpieczeństwa i ochronę. A jednak idąc ku frontowym drzwiom, Ben czuł narastającą frustrację. Dziecko i tak już się obudziło, więc kogo obchodzą środki bezpieczeństwa?

Ostatnich sześć tygodni w niczym nie przypominało tego, co opisywały książki o rodzicielstwie ani o czym mówili ich przyjaciele. Oczekiwał, że będzie zmęczony, zgryźliwy i zestresowany, ale nic nie mogło przygotować go na to, jak naprawdę się czuł.

Był fizycznie wyczerpany.

Isla była piękna i kiedy na nią patrzył, czuł coś, czego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczył. To zgadzało się ze wszystkim, o czym pisano, jak z zadowoleniem zauważył. Ale mała płakała, głośno i bez końca. On i Maggie chodzili do niej na zmianę, podgrzewali butelki, klepali po pleckach, żeby jej się odbiło, albo po prostu kołysali w ramionach. Wreszcie zamykała oczy, a oni kładli ją ostrożnie do łóżeczka i szli na palcach do swojego łóżka. Jeśli mieli szczęście, mogli przespać pełne dwie godziny, zanim mała znów zaczęła płakać.

Ben otworzył frontowe drzwi. Nocne powietrze było ciepłe, a syrena – o wiele głośniejsza tu, na zewnątrz. Wyszedł na wąską brukowaną ulicę i zobaczył światła w oknach domów sąsiadów. Zapalił papierosa. Trzymał jedną paczkę na wypadek nagłych sytuacji, takich jak ta, kiedy budzi się trzeci raz przed czwartą rano. Drzwi domów sąsiadów zaczęły się otwierać i na zewnątrz pojawiły się pierwsze blade postacie w piżamach i szlafrokach.

– Co, u licha, się dzieje? – zażądała wyjaśnień jedna z osób. Był to duży, potężnie zbudowany mężczyzna z łysym plackiem na czubku głowy. – Dlaczego nikt tego nie wyłączy?

Charlie Walsh mieszkał obok Bena i Maggie. Ben spojrzał na niego, gdy ten podszedł, ale szybko znów skierował wzrok na wzgórze za wioską. Potężna sylwetka budynku szpitala była widoczna jako czarny kształt na tle słabego żółtego światła.

– Chyba się nie da – odrzekł. – Jestem niemal pewien, że można ją wyłączyć jedynie ze szpitala.

– Więc może ktoś powinien tam pójść i sprawdzić, co się dzieje?

– Może – odparł Ben.

– Dobra – rzucił Charlie. – Idę z tobą.

Ben spojrzał na sąsiada. Jedyne, czego chciał, to pójść do domu, schować głowę pod poduszkę i czekać, aż ten piekielny hałas ucichnie. Ale to już nie było możliwe.

– Dobra – mruknął i ruszył energicznym krokiem do domu po kluczyki do auta. Leżały na stoliku w przedpokoju.

Minutę później mężczyźni gnali przez centrum Crowthorne w srebrnym range roverze Bena i kierowali się w stronę szpitala.

Siedzący za biurkiem na komendzie policji miasteczka Crowthorne Andy Myers próbował usłyszeć głos w słuchawce. Syrena alarmowa robiła wszystko, by mu to uniemożliwić.

Komendzie w Crowthorne policja Thames Valley nadała taki status, że w praktyce oznaczało to, że wszyscy pracują tu jako wolontariusze. Grupa składała się z dwunastu osób, w większości emerytów, na zmianę zajmujących się niewielką liczbą spraw, z którymi przychodzili do nich miejscowi. Były wśród nich drobne wykroczenia, takie jak graffitiarstwo i wandalizm, a także poważniejsze, na przykład wypadki komunikacyjne. Na komendzie nie odbywano całodobowych dyżurów, ale jeden z ochotników był zawsze pod telefonem. Dzisiaj Andy Myers wyciągnął krótką słomkę.

Kiedy zawyła syrena, wstał z łóżka i jęcząc, starał się rozciągnąć. Każde z sześćdziesięciu ośmiu przeżytych lat bardzo mu w tej chwili ciążyło. Miejsce w łóżku obok niego było puste i zimne – jego żona Glenda zajmowała je przez ponad trzydzieści lat, zanim poprzedniego lata przegrała z nowotworem. Od tamtej pory Andy, który pracował w domach maklerskich w City, szukał nowych sposobów na wypełnienie pustki w swoim życiu. Wolontariat na komendzie również do nich należał. Innymi były zasiadanie w radzie lokalnego klubu rotariańskiego, członkostwo w stowarzyszeniu Village Green i sprawowanie funkcji sekretarza w Klubie Krykietowym Crowthorne.

Ubrał się szybko i w ciągu pięciu minut dotarł na posterunek. Nie spieszył się, ponieważ podobnie jak Ben Dawson nie wierzył, że ktoś mógłby uciec ze szpitala. Ale na wypadek, gdyby rozległa się syrena, istniały protokoły postępowania, a Andy Myers wierzył w przestrzeganie odgórnych zaleceń.

Wszedł na parking, krzywiąc się z powodu rozdzierającego hałasu syreny, stojącej za budynkiem. Był to zwykły dom zaadaptowany na posterunek. Stał na końcu ulicy, wieńcząc rząd podobnych do siebie parterowych domów. Andy otworzył drzwi i wszedł do środka, opadł na wytarte skórzanе krzesło przy biurku, sięgnął po słuchawkę i wybrał numer.

Oficjalne zalecenie postępowania na wypadek ucieczki pensjonariusza Broadmoor zawierało jedynie dwa punkty. Po pierwsze, miejscowe szkoły miały zatrzymać dzieci w środku i pod stałą opieką aż do chwili, kiedy przyjadą po nie rodzice. Po drugie, miały zostać zorganizowane blokady drogowe w promieniu piętnastu kilometrów od szpitala. Komenda w Crowthorne miała jeden radiowóz, starego forda focusa stojącego na parkingu. Andy musiał więc zatelefonować do Wydziału Ciężkich Przestępstw w Reading i poprosić o instrukcje.

– Sir, proszę powtórzyć! – starał się przekrzyczeć syrenę. – Co mam zrobić?!

– Pojedź tam! – wrzasnął funkcjonariusz po drugiej stronie linii. – Jedź i zobacz, co tam się, u diabła, dzieje! Wysyłam jednostki, które zorganizują blokady drogowe! Jeśli to fałszywy alarm, odwołamy je!

– Co mówią ci ze szpitala?! – krzyknął Andy.

– Nie odpowiadają – rzekł inspektor. – Sądzimy, że system im się zawiesił albo ogłuchli, albo stało się coś równie cudownego. Pojedź tam, porozmawiaj z dyżurną pielęgniarką i złóż raport przez radio. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Przyjęto?

– Tak, sir! – zawołał Andy Myers i odłożył słuchawkę.

Zaklął siarczyście. Kiedyś, gdy tak robił, Glenda szerzej otwierała oczy i patrzyła na niego ostrzegawczo. Teraz złapał kluczyki do forda, wiszące na haczyku nad biurkiem. Potem zamknął posterunek, wsiadł do auta i wyjechał z parkingu. Gdy dotarł do obrzeży Crowthorne, włączył światła i syrenę na dachu, chociaż w tym hałasie i tak nikt by jej nie usłyszał. Docisnął gaz i pokierował forda tą samą drogą, którą niecałe pięć minut wcześniej jechał range rover Bena Dawsona.

Charlie Walsh bawił się radiem, przerzucając z jednej stacji na kolejną, aż Ben rzucił mu ostre spojrzenie. Wtedy całkiem wyłączył odbiornik. W zupełnej ciszy wjeżdżali na wzgórze, które dominowało nad okolicą. Obaj mężczyźni patrzyli na światła widoczne z kompleksu szpitalnego. Wreszcie pokonali ostatni zakręt i ich oczom ukazał się Broadmoor.

Otwarto go w 1863 roku. Wówczas nazywał się Szpital Psychiatryczny dla Kryminalistów w Broadmoor. Już dawno zmieniono tę nazwę. Uznano ją za obraźliwą. W dzisiejszych czasach szpital rozrósł się do rozmiarów małej wioski. Wokół pojawiły się liczne betonowe budowle, stanęły przyczepy, komórki i zasłonięte przejścia. Ale główne budynki, te, w których przebywali pacjenci i w których poddawano ich kuracjom, były takie same jak sto pięćdziesiąt lat wcześniej – przysadziste gotyckie budowle z pomarańczowoczerwonej cegły i z szarymi dachówkami zdradzającymi ich funkcję. Wszystko w wyglądzie tych budynków wołało: „Więzienie!”.

Kiedy zbliżyli się do ogrodzenia, Ben zwolnił. Wysoka na co najmniej siedem metrów siatka zwieńczona drutem i pod napięciem wyznaczała granicę wokół szpitala. Za nią znajdowały się wysokie ceglane mury, drzwi zamykane na amen i kraty w oknach. Do tego teren patrolowali strażnicy. Każdy z tych elementów miał informować potencjalnych intruzów: „Nie zbliżajcie się”. Jeśli zignorowaliby ostrzeżenie, czekałaby ich bardzo niemiła niespodzianka.

Brama stała otworem.

Przesuwana, podzielona na środku i zasilana przez zautomatyzowany system, którym zarządzano ze stróżówki. Na bramie umieszczono niewielką skrzynkę, a w niej telefon, którego jednak rzadko używano. Niewiele osób przyjeżdżało do Broadmoor bez zapowiedzi.

Ben wjechał za bramę.

– To mi się nie podoba – stwierdził Charlie Walsh. – Powinniśmy zawrócić. Niech policja się tym zajmie.

– Już tu jesteśmy – odparł Ben. – Równie dobrze możemy się rozejrzeć.

Za ogrodzeniem pod napięciem droga prowadziła lekko w górę, do głównego wejścia. Wjazd przypominał średniowieczną warownię – były tu dwie wieżyczki, po jednej z każdej strony, a wyżej wisiał, wyglądający na bardzo ciężki, zegar zdobiony czernią i złotem. Zewnętrzne budynki szpitala rozciągały się za

wjazdem po obu stronach i łączyły się z wieżami strażniczymi na wewnętrznym murze. Brama sprawiała wrażenie niemożliwej do sforsowania.

Chyba że stała otworem tak jak teraz.

Ben jechał powoli dalej, czując coraz większy niepokój. Bramy Broadmoor nigdy nie stały otwarte. Gdyby chodziło o usterkę lub awarię systemu zasilania, nigdy nie mogliby wjechać tak daleko niezatrzymani przez strażników. To, że obie bramy były otwarte, nie mieściło się w głowie. Ben zauważył coś jeszcze. Nacisnął przycisk na klamce drzwi i opuścił szybę. Poczul napływające do auta ciepłe powietrze i nasłuchiwał.

Syrena nadal wyla w miasteczku jak oszalała. Ale poza jej dźwiękiem, w przerwach między kolejnymi sygnałami panowała cisza.

Zwykle szpital tętnił życiem, zawsze coś się tu działo, zawsze panowały ruch i hałas, nawet o tak wczesnej godzinie jak teraz. Powinni słyszeć odgłosy kroków, szczekanie stróżujących psów, rozmowy pracowników nocnych zmian...

Ale nie słyszeli niczego.

– Czego nasłuchujesz?! – krzyknął Charlie Walsh, starając się wygrać z syreną. – Słyszysz coś?

– Nic! – zawołał Ben. – Zero.

Zamknął okno i lekko nacisnął pedał gazu. Auto wjechało przez bramę i minęło dwa punkty ochrony – drobne budki, takie jak te, które stoją na autostradach i w których uiszcza się opłaty za przejazd. Ben spojrzał na jedną z nich. Była pusta. Ani śladu jakiegokolwiek ruchu, chociaż na tylnej ścianie dostrzegł jakiś cień. Jakby wylano na nią puszkę farby.

– Jak jest po twojej stronie? – spytał. – Widzisz tam kogoś?

– Nikogo – odparł Charlie i Ben po raz pierwszy usłyszał lęk w głosie sąsiada. – Tutaj nikogo nie ma. Gdzie oni wszyscy, u licha, są?

– Nie wiem.

W ciszy wjechali na dziedziniec. Z obu stron stały nowoczesne dobudówki administracyjne, ale głównym budynkiem po-

zostawał ten z ciemnopomarańczowych cegieł. Do zdobionych frontowych drzwi prowadziły szerokie schody. To na nich Ben dostrzegł coś dziwnego.

Gwałtownie wcisnął hamulce, sprawiając, że Charliem Walshem porządnie szarpnęło, i aż krzyknął z zaskoczenia.

– Co, do diabła?!

– Cicho – przerwał mu Ben. Włączył długie światła i oświetlił dziedziniec.

Na schodach leżał mężczyzna w białej szpitalnej koszuli, poplamionej czymś szkarłatnym.

– Boże... – szepnął Charlie. – Boże, Ben, nie chcę tutaj być. Wynosmy się.

Ben nie odpowiedział. Nachylał się do przedniej szyby i próbował spojrzeć w górę. Sam nie wiedział, co spodziewał się tam zobaczyć. Strzeliło mu w karku, ale coś dostrzegł.

Na czwartym piętrze, dokładnie nad miejscem, gdzie leżał mężczyzna, było okno. Ale brakowało w nim szyby.

– Wyskoczył – szepnął Ben. – Widać odłamki szkła. Wyskoczył.

Walsh także się nachylił, ale miał zbyt szerokie ramiona i szyję, żeby zobaczyć to, na co wskazywał Ben. Opadł na siedzenie, ciężko oddychając.

– Ben, on nie żyje – powiedział słabym głosem. – Nie możemy dla niego nic zrobić. Jedźmy do domu. Zawiadomimy policję, a oni przyślą tu karetkę. Proszę cię, Ben. Jedźmy stąd.

– Ale dlaczego on tu leży? – zastanawiał się Ben na głos. – Dlaczego nikt nie próbował mu pomóc? Gdzie są pielęgniarki?

– Nie wiem! – Charlie tracił zimną krew. – Chcę jechać do domu, Ben. Chcę jechać do domu, natychmiast!

Ben spojrzał na sąsiada. Mężczyzna wyglądał tak, jakby zaraz miał wpaść w panikę. Oddychał szybko, a oczy otworzył szeroko ze zdumienia. Miał rację. Nic nie mogli zrobić dla tego nieszczęśnika – kałuża krwi pod jego ciałem wydawała się ogromna. Ale coś się tutaj nie zgadzało. Nie chodziło jedynie o otwarte bramy. Było zbyt cicho i zbyt pusto. Jeden z pacjentów leżał martwy na dziedzińcu i wyglądało na to, że nikt tego nie zauważył.

Odpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi. Charlie jęknął.
– Co ty wyrabiasz?! – krzyknął.

Syrena w miasteczku wciąż wyła niemiłosiernie.

Ben go zignorował. Wysiadł z auta jak w transie. Jego umysł starał się ogarnąć to, co widział. Miał wrażenie, że to układanka, której rozwiązanie jest w zasięgu wzroku, ale jeszcze niedostępne. Jakby z oddali usłyszał, że otworzyły się drzwi od strony pasażera i Charlie Walsh wysiadł. Nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Wracaj do auta! – zawołał. – Proszę cię!

Prośba w jego głosie przywróciła Bena do rzeczywistości. Machnął głową, jakby chciał coś odpędzić i oczyścić myśli.

– Dobra! – krzyknął i zobaczył ulgę na twarzy towarzysza. – Wybacz, stary. Jedziemy.

Wsiadł za kółko i już miał zamknąć drzwi, gdy nieboszczyk podniósł się i na nich spojrzął.

Był to mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Jego koszula wyglądała, jakby ktoś umaczał ją w czerwonej farbie, a lewe ramię zwisało pod nienaturalnym kątem. Jednak na twarzy pasjent miał szeroki, głodny uśmiech, a oczy lśniły kolorem lawy.

Charlie Walsh pisnął, przyciskając dłonie do deski rozdzielczej, jakby próbował się odepchnąć jak najdalej od tego koszmaru, który miał przed oczami. Ben mógł jedynie patrzeć z szeroko otwartymi oczami, nie rozumiejąc, co właściwie widzi. I nagle skąpana we krwi postać skoczyła na maskę range rovera i przebiła pięścią przednią szybę.

Ben otrząsnął się z paraliżu, a Walsh ponownie krzyknął. Hałas syreny wdarł się do auta przez zbitą szybę, ogłuszając ich obu. Mężczyzna z czerwonymi oczami znów wbił ramię w okno, rozdzierając skórę na cienkie wstążeczki. Krew chlusnęła w powietrze, kiedy jego dłoń minęła szyję Bena i skierowała się ku twarzy Walsha. Mężczyzna wrzeszczał tak głośno, że przekrzykiwał wycie syreny, ale Ben nie rozróżniał słów wychodzących z jego ust, które pluły krwią tworzącą na szybach czerwone wzory. Nieznajomy starał się dosięgnąć obu ludzi siedzących w środku.

Potem jego zimne palce zacisnęły się na dolnej wardze Charliego. Z pierwotnym okrzykiem triumfu szkarłatny potwór odebrał ją z twarzy Walsha z dźwiękiem przypominającym drący się papier. Krew trysnęła z rany, plamiąc deskę rozdzielczą i szybę. Krzyk Walsha stał się jeszcze głośniejszy.

Ben wrzucił wsteczny bieg i docisnął gaz do dechy. Walsha rzuciło do przodu. Przez przerażający ułamek sekundy dłoń pacjenta zacisnęła się na jego szyi. Siła przyspieszenia rzuciła jednak mężczyznę do tyłu tak, że z impetem spadł na wyłożony kamieniami dziedziniec. Natychmiast znów się poderwał, skąpany w światłach wycofującego się auta. Ben spojrzał przez ramię i zobaczył, że szybko zbliża się do bramy. Nie miał czasu na korektę kursu, mógł mieć jedynie nadzieję, że od chwili, gdy wjechali na dziedziniec, nie obrócił kierownicy.

Usłyszał zgrzyt metalu, kiedy rover minął budkę strażnika. Gdy auto ocierało się o mur, od strony pasażera syknął snop iskier. Charlie Walsh na zmianę płakał i krzyczał. Miał minę człowieka pragnącego się obudzić z koszmarного snu. Podskoczył na siedzeniu i niemal wpadł na Bena, który bez ceregieli go od siebie odepchnął. Wtedy zgrzyt metalu ucichł – byli za bramą. Ben gwałtownie zahamował i obrócił kierownicę. Spod opon wydobywały się dym i pisk, lecz już po chwili duży wóz skierował się w stronę drogi, którą kilka minut wcześniej przyjechał. Za nimi rozległ się łomot. Ruszając z miejsca, Ben spojrzał w tylne lusterko. Docisnął gaz do dechy.

Zakrwawiony pacjent, który urwał jego sąsiadowi dolną wargę, wbiegł rozpędzony w tył rovera. Na tylnej szybie pojawiły się plamy świeżej krwi. Gdy auto ruszyło, Ben zauważył, że mężczyzna leży na ziemi. Wyglądało na to, że sam się zgnokautował. Ale gdy tak na niego patrzył, kątem oka dostrzegł coś, co niemal przyprawilo go o zawal.

Na dziedzińcu pojawiały się ciemne kształty, szybko przemieszczające się w kierunku bramy. Ben ponownie nacisnął przełącznik i otworzył okno. Pośród hałasu syreny słyszał tłuczone szyby i niskie warczenie, jakie wydają stada dzikich zwierząt. Wyjeżdżając przez zewnętrzną bramę, wciąż patrzył w tylne lu-

sterko. W rezultacie nie dostrzegł czerwono-niebieskiej poświaty wyłaniającej się zza ostrego zakrętu przed nimi.

Andy Myers zacisnął zęby i dodał gazu. Dźwięk syreny alarmowej był ogłuszający nawet wewnątrz auta. Drzwi i okna starego forda nie były już tak szczelne jak kilka lat temu. Hałas wydawał się na tyle potężny, że równie dobrze szyby mogłyby być opuszczone. Mężczyzna chciał się dowiedzieć od dyżurnej pielęgniarki, co się dzieje, przekazać to wyżej i wrócić do łóżka. W południe mieli rozegrać mecz krykieta; wiedział już, że wielu członków drużyny nie będzie po takiej nocy w dobrej formie.

Lekko wszedł w ostatni zakręt przed szpitalem. Wtedy oślepiło go jaskrawe światło i miał zaledwie chwilę na ustalenie, co to jest, zanim range rover zderzył się z nim czołowo.

– Uważaj! – krzyknął niewyraźnie z powodu swojej dolnej wargi Charlie Walsh.

Ben oderwał wzrok od lusterka, świadomy, że coś jest przed nim. Wówczas czerwono-niebieska poświata rozświetliła przednią szybę, rozległ się szczęk metalu i wszystko pochłonęła ciemność.

Gdy Ben się ocknął, wokół panował chaos.

Otworzył oczy i miał wrażenie, że głowa pęknie mu z bólu. Syrena nadal wyła, zagłuszając wszystko wokół. Powoli odwrócił się i spojrzał na Charliego Walsha.

Sąsiad wisiał podtrzymywany przez pas bezpieczeństwa z głową w dole i zamkniętymi oczami. Twarz miał pokrytą krwią, a na czole już zaczęła się pojawiać opuchlizna. Ben dostrzegł na ustach Charliego pęcherzyk powietrza. Potem drugi i trzeci.

„Żyje – pomyślał. – Dzięki Bogu”.

Spojrzał na siebie i załała go fala ulgi. Nadwozie jego dużego auta wytrzymało. Za pedałami było spore wgłębienie. Silnik został dociśnięty do wewnątrz, ale nie przebił metalu. Gdyby tak się stało, zgniótłby dolną połowę ciała Bena na miazgę. Benowi leciała krew z nosa i widział w desce rozdzielczej wgniecenie

po uderzeniu. W głowie mu dudniło i nie mógł zebrać myśli. Starał się, ale wszystko mu umykało. Rozwiewało się niczym dym na wodzie. Drżącą ręką otworzył drzwi. Chciał wysiąść, ale uderzenie bólu, które promieniowało z jego lewej kostki na całe ciało, na chwilę go unieruchomiło. Krzyknął. Popatrzył w dół i dostrzegł, że jego stopa jest obrócona o niemal dziewięćdziesiąt stopni w bok. Był to tak dziwny widok, tak okropny, że mężczyzna zwymiotował na kolana. Nie mógł się powstrzymać.

Wyjął telefon komórkowy z kieszeni i wybrał numer Maggie. Wiedział, że powinien zadzwonić na policję, ale z jakiegoś powodu miał opory. Coś się stało przed tym wypadkiem, chociaż nie był pewien co. Czy było tu inne auto? Czy w kogoś uderzył? Trzymając aparat przy uchu, wyjrzał przez pękniętą przednią szybę. Wokół znajdowały się rozrzucone skrawki metalu. Nachylił się, bo miał wrażenie, że jego auto jest wyższe niż zazwyczaj, że droga wygląda inaczej. Pod przednimi kołami rovera dostrzegł zgnieciony płat metalu. Patrzył na niego jakby nieobecny wzrokiem, lecz po chwili, kiedy spojrzął na resztki czerwono-niebieskich świateł, wszystko wróciło.

Szpital, mężczyzna, wargi Charliego, policja, samochód i...
Zamarł.

„Boże, pozostali pacjenci. Pękające szkło. Są za mną”.

Syrena alarmowa nie przestawała wyć. Usłyszał w słuchawce głos Maggie. Krzyczała, chciała wiedzieć, czy ją słyszy. Ale nie potrafił zmusić ust do mówienia. Jeszcze raz spojrzął w tylne lustro i dostrzegł schodzący ze wzgórza czerwony blask, stworzony przez setki par połyskujących złowrogo szkarłatnych oczu.

– Uciekaj – wydusił. – Weź Isłę i uciekaj.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks: 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel.: 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl **www.nk.com.pl**

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 53 g/m² wol. 2,4.*

Redaktor prowadzący *Anna Słowik*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Anna Brynkus-Weber*
Korekta *Ewa Mościcka, Katarzyna Nowak*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12529-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.
Wydanie pierwsze
Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań